

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez
Gastona René.

9

(Dokończenie).

Po tych słowach wyszła Giza powtórnie i na nowo pozostałem sam.

Nie było się już co łudzić, mówiła całkiem serio. Włóczęga, który powalił mnie w sieni na ziemię, był z pewnością gotów popełnić morderstwo. Należało więc tylko wykorzystać czas i uciec. Gdy w domostwie zapanowała znowu śmiertelna cisza, zacząłem próbować, czy nie uda mi się wyrwać małego okienka. Już pierwszej próbowałem tego, lecz bezskutecznie. Teraz, pod wpływem pewnego rodzaju rozpacz, udało mi się otworzyć jedno skrzydło. Na polu nie było całkiem ciemno, bo od czasu do czasu wyzierał księżyc z za chmur i oświecał płaszczyznę podwórza. Nie można jednak było zobaczyć ani żywej duszy, którą mógłbym prosić o pomoc. Począłem tedy rękami szarpać za kraty i na koniec powiodło mi się jedną z nich wyrwać. Przy tej pracy zeszło mi dość czasu i sądziłem, że Giza powróci lada chwila. Wydarłej kraty użyłem jako dźwigni i wyrwałem resztę. Otarłem sobie przytem ręce do krwi, nie zważałem jednak na skaleczenia. Już słyszałem skrzypienie którychś drzwi w domu, gdy przecisnąłem się przez ciasne okno i spadłem na pokryte śniegiem podwórze.

Dokąd miałem się teraz zwrócić, aby dostać się na ulicę, nie miałem pojęcia, lecz nie zatrzymując się ani sekundy, pobiegłem w kierunku wysokiego muru. Śmiałym skokiem dostałem się na wierzch muru, skąd zobaczyłem już ulicę.

Jakiś krzyk doleciał mych uszu.

Zdawało mi się, że wydała go Giza i prawdopodobnie spostrzegła teraz moją ucieczkę. Nie odwracając nawet głowy, zeskoczyłem na ulicę i pobiegłem nią. Nie było tak późno, jak przypuszczałem, to też zastałem jeszcze kilka sklepów otwartych. Dopiero teraz stanąłem, namyślając się, co począć.

Ubranie, które miałem na sobie, chroniło mnie dosyć przed zimnem, spostrzegłem nadto, że mam zarzucone ciemne palto i miękki kapelusz filcowy na głowie. Zacząłem szukać po kieszeniach, gdzie znalazłem małą, jedwabną sakiewkę a w niej około 20 franków. Skąd się jedno i drugie wzięło, nad tem nie miałem się czasu zastanawiać. Chciałem jak najrychlej zaopatrzyć się w broń i udać mi się to skutecznie przed zamknięciem sklepu. Coraz bardziej uspakałem się i postanowiłem pośpieszyć do mojej willi, aby zabrać stamtąd niebezpieczny papier. Gdyby mi się to udało, chciałem wyjechać z Paryża i przebyć jakiś czas w ukryciu.

Gdy zbliżyłem się do domu, zdawało mi się, że widzę cienką smugę światła, która przedzierała się przez zasunięte firanki. Uderzyło mnie to i skłoniło do podwojenia ostrożności. Myślałem, że to pewnie złodzieje, którzy korzystali z zamieszania, aby dokonać rabunku. Całkiem mechanicznie przygotowałem broń i zbliżyłem się do okien. Światło jednak w tej chwili zgasło, a ja udałem się do rogu domu, ku żelaznym schodom, prowadzącym do mojej pracowni. Bez szmeru wyszedłem na górę. Nagle stanąłem, jak oślepiały. I tutaj było światło. Ku wielkiemu memu zdziwieniu, zobaczyłem przez szparę między firankami jakiegoś mężczyzny przed moim biurkiem, które zdawało się wyważone. Obcy, którego twarz mogłem tylko z boku obserwować, pracował przy blasku ślepej latarni i rozrzucał wszystkie moje papiery. Wtem otworzył i skrytkę i zobaczyłem, jak rozłożył ten tajemny dokument, akt ślubny z Londynu i począł go czytać. Nie mogłem już dłużej zapanować nad sobą, podniosłem rewolwer i strzeliłem na ślepo, wcale nie celując. Gdy kawałki potłuczonego szkła upadły mi pod nogi, obudziłem się jak ze snu. Drzwi były już wyważone, a ja stałem jeszcze oślepiały.

Nieznamy patrzył mi w twarz i teraz począłem uciekać, nie zdając sobie z tego sprawy, co robię. W tej chwili przyszło mi na myśl, że może to być detektyw, który śledził za mną i moimi tajemnicami.

Uszedłem i pędziłem na jeden z dworców kolejowych, gdzie spodziewałem się zastać pociąg, któryby mnie zawiózł do Marsylii. Tymczasem zaczął śnieg padać na nowo i ujrzałem się nagle nad brzegiem Sekwany. Oświetlenie tutaj było bardzo słabe, a nadto padał dość gęsty śnieg. Przedemną stanęła jakaś postać, w której rozpoznałem

ku memu przerażeniu Gizę. Masiła mnie ścigać i przeszukiwała już prawdopodobnie tę okolicę, w której przypuszczała, że mnie znajdzie. Powstała między nami krótka, gwałtowna scena. Ona chwyciła mnie w pól, aby przeszkodzić mi iść dalej i wbiła mi w ramię zęby. Odepchnąłem ją od siebie i zobaczyłem, jak upadła na kolana koło poręczy nad Sekwaną. Głośny krzyk, który wydała, musiał kogoś zaalarmować, bo jakiś człowiek poskoczył ku mnie i chciał mnie zatrzymać. Odepchnąłem go jednak, nie troszcząc się dalej o niego i popędziłem na dworzec. Kupiłem bilet i w kilka minut unosił mnie kurier do Marsylii. Tam zastawiłem mały pierścionek brylantowy, by żyć, jako nauczyciel muzyki.

Kto był tym człowiekiem, który nadbiegł na krzyk Gizi, tego powiedzieć nie mogę, bo nie mogłem rozpoznać rysów jego twarzy. Odtąd nie widziałem Gizi więcej, a z doniesień policyjnych dowiedziałem się o śmierci hrabiny Kowskiej i o tem, że policja poszukuje mężczyzny, który w tym czasie kupował bilet do Marsylii. Opanowała mnie straszna rozpacz i chociaż Giza już umarła, a ja byłem wolny, nie śmiałem się pokazać, lecz wola-



— Zmarły książę! — wykrzyknął głosem, który zdawał się zamierać mu w gardle.

łem czekać aż do odkrycia prawdziwych sprawców. Podczas tego aresztowano mnie i przywieziono tutaj.

Oto wszystko, co mogę podać, a zarazem straszna tajemnica mego życia! Moją jedyną winą jest to, że milczałem wobec narzeczonej, a to tylko z tego powodu, że drżałem na samą myśl, iż mogę utracić Leontynę. Teraz straciłem wszystko i z wesołego księcia de Bligny stałem się złamanym człowiekiem.

X.

Książę umilkł i przez chwilę panowała w kancelarii głęboka cisza. Nawet na Lisa, tak zepsutego człowieka, wywarło opowiadanie księcia pewne wrażenie.

Sędzia śledczy zwrócił się do Lisa i zapytał: — Czy nie masz czego dodać do zeznań księcia, Piotrze Gramont?

— Nie — odpowiedział teraz Lis. — Wszystko jest prawdą, co ten pan opowiedział. Nie chcę także przewlekać całej sprawy, lecz krótko i wżłutowato wyjawić to, czego jeszcze pan nie wie.

Markiz de Lerma, w przebraniu, aby go nie poznano, umawiał się ze mną w piwnicy ojca Noego. Przrzekł on mi większą sumę, jeżeli usunę, o ile możliwości najpewniej i bez rozgłosu pewnego

pana, którego mi dokładnie opisze. Zgodziłem się, bo pomyślałem sobie, że czy ogłuszę ofiarę, czy pozwolę jej zniknąć, to nie obchodzi nic tego, od kogo otrzymałem polecenie. Najpierw musiałem mu wyszukać chłopaka, któryby umiał obchodzić się z końmi. Oprócz tego musiał on posiadać wspaniałe świadectwa, żeby mógł znaleźć miejsce w znakomitym domu. To nie było rzeczą trudną. Wspaniałe świadectwa zfałszowano i pod nazwiskiem John'a Franklin'a dostawiono do willi księcia de Bligny jednego z moich kolegów.

Sędzia śledczy podniósł głowę:

— Gdzie znajduje się ten John Franklin? Czy nie mógłbyś nam o tem powiedzieć? Woźnica, który powoził pojazdem księcia na ulicę św. Marcina, zniknął od owego przedpołudnia.

Lis wzruszył ramionami.

— I ja nie widziałem więcej mojego kolegi. Wolał on z otrzymanymi pieniędzmi umknąć zaraz z Paryża. Co do reszty, to łatwo da się wyjaśnić — odpowiedział Lis cynicznie.

Markiz de Lerma poznał mnie z pewną damą, którą tytułował hrabiną. Stało się to w jednym z opuszczonych domów przy ulicy św. Marcina. Tam miałem się w oznaczonej godzinie zacząć w sieni i dokładnie mi określonego pana, który wejdzie na kurytarz obalić, a potem w piwnicy zamordować. Przedtem jednak miałem mu odjąć prawą rękę. To ostatnie żądanie uważałem za niezwykłe, ponieważ jednak markiz i hrabina upierali się przy niem, przystałem tedy.

W trakcie sprawy pomyślałem jednak, że ostatecznie nie potrzebuje to być ręka księcia. Tę samą służbę mogła spełnić inna martwa ręka!

Już w nocy przed owym ranem, stawilem się w wskazanym domu i wtedy rozmawiałem tajemnie z hrabiną. Zdawało się, że zmieniła swoje postanowienie co do zabicia księcia, chciała jednak koniecznie posiadać jego prawą rękę. Miałem na to radę i hrabina zgodziła się. Z markizem de Lermy, który musiał przyrzec swe usługi hrabinie, nie widziałem się tego dnia. Pieniądze miałem otrzymać zaraz po dostarczeniu ręki trupa. Oddałem im się na parę godzin i gdy wróciłem rano, oddałem hrabinie trupią rękę, którą dostałem za pośrednictwem grabarza z St. Louis. Wkrótce potem nad-

szedł książę. W jaki sposób został napadnięty, słyszał pan z jego własnych ust. Zdjąłem z niego suknie, wsadziłem jego pierścień na martwą rękę, którą hrabina włożyła do czarnej szkatułki, a mnie oddała pośpiesznie z garderobą księcia, by w nią ubrać już zezpeconego do niepoznania trupa. Rzućmy, przez nikogo niewidziani, zwłoki do Sekwany i oczekiwaliśmy spokojnie, aż je gdzieś wyłowia i uznają za martwego księcia.

Pieniądze otrzymałem od hrabiny zaraz po powrocie. Porzątkowo zamierzałem opuścić Paryż, lecz kilku dobrych przyjaciół okradło mnie, dlatego wyszukałem markiza po raz drugi i zażądałem od niego pieniędzy. Hrabiny nie znalazłem, bo byłbym poszedł do niej. Przy tem spotkaniu w piwnicy ojca Noego uwięziono mnie. Więcej nie wiem; możecie ze mną robić, co się wam podobą.

Sędzia wydał rozkaz, by Lisa odprowadzono napowrót do więzienia. Zdawał się chwilę namyślać, potem rzekł, zwróciwszy się do księcia:

— Proszę wejść na chwilę do pobocznego pokoju. Chciałbym pana skonfrontować z markizem de Lerma, któregośmy również uwięzili. Wprzód jednak chciałbym zadać mu parę pytań.

Książę, milcząc, pozwolił się odprowadzić.

Po kilku minutach wszedł markiz do pokoju